

Teksty Drugie 1996, 1 , s. 175-188



Zaokienne widoki

Michał Głowiński

Autobiografia

Michał Głowiński

Zaokienne widoki

Januszowi Majcherkowi

Po stokroć chwałę okna wynalazek. To dzięki niemu, tak jak dzięki drzwiom, jeśli w każdej chwili można swobodnie je otworzyć, pomieszczenia, w których przebywamy, w których toczy się nasze życie, różnią się od klatek czy komórek. Za sprawą okna właśnie możemy rzucić okiem na to, co jest na zewnątrz, a więc wejść w kontakt ze światem też tworzącym kontekst naszego życia, choć już nie najbliższy, bo ten ograniczony jest czterema ścianami, a one nawet w rojeniach o szklanych domach nie są przezroczyste. Oczywiście, mam w pamięci zastygłą metaforę „okno na świat”, nie do niej jednak nawiązuję. Interesuje mnie coś bardziej konkretnego, te okna, które w naszym mieszkaniu w P. wychodziły na ulicę, nazywającą się 3-go Maja; to była główna droga w najstarszej i najbardziej zaniedbanej dzielnicy w naszym mieście. W skromnej prowincjonalnej skali jest ona całkiem długa, prowadzi od szosy do stojącego na obrzeżach neogotyckiego kościoła, wybudowanego na przełomie stuleci w miejscu, w jakim przed wiekami wznosiła się świątynia, niszczonea przez kolejne pożary. I skromność i fakt, że wiodła do miejsca kultu, jakże przecież ciemnego i niezgodnego z jedynie słuszną nauką, nie przeszkodziły temu, że z okazji siedemdziesiątych urodzin wielkiego

przywódcy całej postępowej ludzkości, generalissimusa i geniusza naszych czasów, przemianowano ją na ulicę Józefa Stalina. Wróciła ona do dawnej nazwy po kilku latach, ale także wówczas, gdy nosiła to obce imię, była nadal dla wszystkich lub prawie wszystkich ulicą 3-go Maja, tak o niej myślano i tak ją nazywano w rozmowach potocznych, jedynie w sytuacjach oficjalnych padać musiało nazwisko wodza sił pokoju i socjalizmu, który w tym czasie zdążył zapracować na kolejny tytuł — wielkiego językoznawcy.

Owe zaokienne sceny, które pragnę tutaj z przeszłości przywołać, w małym stopniu zależały od nazwy ulicy, tworzącej ich scenerię, tak że dzisiaj trudno mi niekiedy dokładnie osadzić je w czasie — i stwierdzić, czy działy się jeszcze na 3-go Maja, czy na Stalina. Moje okno pozostało niezmienione. Głoszę jego chwałę, tak jak to czyni bohater opowiadania Hoffmana *Narożne okno*. Pozwala mu ono obserwować, co się dzieje na ożywionym berlińskim targu. „(...) to okno jest moją największą pociechą; tu roztacza się przede mną na nowo barwne życie i czuję się wielce zadowolony na widok tego nigdy nie przerwane go ruchu. Pójdź, kuzynie, spójrz przez okno”. Bohater ów ma szczególne powody, by czas swój spędzać przy oknie, choroba pozbawiła go bowiem władzy w nogach; przytwierdzony do fotela, nie mógł opuścić swojego mieszkania, jedynie okno łączyło go z tym, co na zewnątrz, z bujnym i ruchliwym życiem, przelewającym się przez targowisko. Ja — szczęśliwie — takich ponurych motywacji nie miałem, znajdowałem się w stanie pełnej młodzieńczej mobilności, a jednak lubiłem wlepić nos w szybę i patrzeć, co też się dzieje na ulicy, choć na ogół nic nadzwyczajnego się nie działo. Zawsze jednak było to ciekawsze niż odrabianie lekcji, choć przez ulicę 3-go Maja vel Józefa Stalina przelewała się raczej małomiasteczkowa nuda niż bujne życie. Ostatecznie P daleko było do Berlina nawet z zamierzonych czasów Ernesta Teodora Amadeusza. W tej nudzie pojawiały się jednak sceny, które utkwily mi w pamięci, a przez ulicę przesuwaly się charakterystyczne postacie; do dzisiaj mam je przed oczyma.

Głupi Zdzisio

Tak się o nim mówiło, nikt nie wiedział, jak się nazywa i nikogo to nie interesowało, zdrobniałe imię wystarczyło, po co nazwisko komuś, kto jest tak głupi, że bardziej głupi być nie może, jest najgłupszy z najgłupszych, nie potrafi wypowiedzieć ani jednego

słowa i nie rozumie niczego, co się do niego mówi. Niewątpliwie nie był już dzieckiem, raczej dorosłym mężczyzną, jak ów Edzio z Schulza, który nie mógł chodzić, ale na umysłową niesprawność nie cierpiał i dysponował tubalnym głosem. Był bez wieku, mógł dopiero niedawno przekroczyć dwudziestkę, ale trudno było wykluczyć, że dobiega czterdziestki, jego matka raczej od dawna młodość miała za sobą; zniszczona i życiem sterana z pewnością wyglądała ponad swój wiek. Mieszkała na którejś z bocznych ulic; mówiło się o niej „matka Zdzisia”, bo znana była z tego, że za nim biegła, usiłując sięgnąć do domu, lub przekazując jakieś polecenia lub pouczenia, których zresztą on i tak nie pojmował. Kiedy udało się jej do niego dobiec, chwyciła go za rękę i zawracała. Te sygnały do niego docierały, był im na ogół posłuszny, nie uciekał przed matką. Z większym lub mniejszym trudem prowadziła go do domu. Opiekowała się nim troskliwie, zapewne żywiła nieustanną obawę, że coś mu się stanie, gdy wybiegał na ulicę, choć w tych czasach ruch samochodowy w P. był niewielki, kręciło się po naszym mieście kilka zdezelowanych ciężarówek, a miejscowi dygnitarze jeździli dwoma czy trzema chevroletami; lud nazywał je demokratkami, no bo przecież służyły przedstawicielom władzy, która mówiła o sobie, że jest najdemokratyczniejsza na świecie. Ale te — jak się wówczas wydawało — wytworne auta rzadko zajeżdżały na ulicę 3-go Maja — nawet wówczas, gdy przez sześć lat nosiła miano Józefa Stalina.

Zdzisio nie chodził, gdy wyruszał w świat sam, biegł. A jego nadjeście sygnalizowane było zwykle przez głośne, opierające się na jednym tonie wycie. Miał on głos tubalny, choć za jego pomocą nie potrafił wyrazić niczego, co choćby zbliżałoby się do sensowności. Te dźwięki natrętnie donośne nie tylko były nieartykułowane, przypominały syrenę fabryczną lub owego słynnego bucza, który miał zagłuszać wrogie radiostacje. Może Zdzisio w ten sposób coś mówił o sobie i świecie, ale w tym przypadku to jego nikt nie rozumiał. Wycie nie było zresztą stałe, ucichało na krócej lub dłużej, by po chwili wybuchnąć od nowa i się nasilić. Nie wiem, od czego zależało jego natężenie, może od zwykłego fizycznego zmęczenia, może zaś było ekspresją życia duchowego człowieka, o którym się mówiło, że cierpi na wodogłowie lub że po prostu nie ma mózgu i nazywało się krótko i węzłowo kretynek. Niewykluczone przeto, że w tym nieszczęśliku coś się tliło, coś tajemniczego i niepojętego, tak jak nie do ogarnięcia jest to wszystko, czego żywe istoty nie potrafią wyrazić

w słowach. Wówczas, oczywiście, nie zastanawiałem się nad domniemanym życiem duchowym Zdzisia, postrzegałem go takim, jakim był, nie kusiło mnie wnikanie w jego ewentualne tajemnice.

A więc widziałem, jak biegał. Nie umiał wielu rzeczy, nie umiał także normalnie chodzić. Biegał rozmaicie — stępa, truchtem, kłusem. Miał w sobie coś animalnego, coś co nie ograniczało się tylko do bezradności w tym, co z człowieka czyni istotę, umiejącą się z innymi porozumiewać. Przypominał jednak nie tyle konia, co kangura. Biegał zwykle pochylony, z rękami wyrzuconymi do przodu, zgiętymi w łokciach, ale też — w nadgarstkach; przyjmował pozy, jakby właśnie szykował się do skoku. Wysoki, dość szczupły, o charakterystycznie podłużnej twarzy, ciemnobłond włosach i niemal zawsze otwartych ustach — takie szczegóły z wyglądu Głupiego Zdzisia pozostały mi w pamięci. Pamiętam też, jak był ubrany, zwykle tak samo, niezależnie od pogody. Chodził w nędznym drelichu, bluza zawsze rozpięta; tylko wówczas, gdy przychodziły duże mrozy, narzucał na nią coś w rodzaju palta, czy raczej narzucano mu, bo z ubieraniem się też z pewnością nie dawał sobie rady. Palta najwyraźniej nie lubił, może zbyt krępowało jego ruchy, czasem rzucał je na chodnik. Nosił też wysokie, powyżej kostki, buty — zawsze bez sznurowadeł, na gołą nogę, najchętniej jednak biegał boso. A pewnego razu zdarzyło się, i to bynajmniej nie w piękną pogodę, ale w ponury dzień jesienny, że na ulicy 3-go Maja pojawił się tak, jak go Bóg stworzył — i swoim zwyczajem biegł gdzieś truchtem czy kłusem. Tego akurat wydarzenia z mojego okna nie widziałem, słuch o nim jednak do mnie dotarł. Głupi Zdzisio skorzystał z nieuwagi matki, wyrwał się spod jej kontroli — i wywołał w naszej dzielnicy prawdziwe zgorzenie. Nagi chłop biegnący bezwstydnie po ulicy, nie zakrywający nawet przyrodzenia — nie, tego dotychczas kroniki P. nie notowały.

I to był jedyny skandal związany ze Zdzisim, bo do samej jego obecności się przyzwyczajano, stał się tak oczywistym i naturalnym składnikiem naszego prowincjonalnego pejzażu, że go niemal nie zauważano. A gdy nagle znikł, też nie od razu to dostrzeżono. I ja, choć nadal lubiłem wyglądać przez okno, dopiero po pewnym czasie zorientowałem się, że go nie ma. Nie wiem, co się z nim stało. Mówiło się, że matka oddała go do zakładu opiekuńczego i z P. się wyprowadziła. Ale słyszałem inną wersję — i to ona wydaje mi się bardziej prawdopodobna: pewnego razu pobiegł dalej niż zwykle, zboczył z naszej ulicy, znalazł się w miejscach, których nie znał — w pobliżu ogrodu Hozera, tego ogrodu, z którego już w XIX wieku dostarcza-

no kwiaty do stołecznych kwiaciarń i o którym wspomina przy jakiejś okazji Bolesław Prus. Tam właśnie znajdowały się glinianki. I jedna z nich Głupiego Zdzisia miała pochłonać. Zapewne biegł jak zwykle i rzecz jasna nie zdawał sobie sprawy, że — podobny do kangura — wykonuje swój skok ostateczny. W wieczność.

Gazeciarz

Jego, wyglądając oknem, widywałem częściej niż Głupiego Zdzisia, dwoił się i troił, pojawiał się o różnych porach dnia — i starym w swej profesji obyczajem wykrzykiwał tytuły gazet. Nie był człowiekiem pierwszej młodości, sprzedawaniem prasy w P. trudnił się podobno już przed wojną. I on był osobą anonimową, choć powszechnie znaną. Mówiono o nim po prostu Gazeciarz. I ja również tak będę go nazywał.

Postacią był barwną i charakterystyczną, nie można go było nie zauważyć. Miał swój kiosk nieopodal, znajdował się po naszej — nieparzystej — stronie ulicy, tuż obok apteki Kasprzyckiego, a więc z okna nie mogłem go widzieć. Była to niewielka budka, tak mała, że później wprowadzone w całym kraju i zuniformizowane kioski „Ruchu”, te swoiste realsocjalistyczne drugstore'y, mogły się wydawać niemal pałacami. Jeśli szerokość tej budki przekraczała metr, to było dużo, mieściła się w niej zatem tylko jedna osoba. Budka była zwykle otwarta, także wówczas, gdy Gazeciarz uganiał się po ulicach, zajmowała się nią jego żona. Byli do siebie podobni, obydwójce szczupli i wysocy, obydwójce w charakterystycznych drucianych okularach. Można byłoby powiedzieć, że trudnili się gazeciarsstwem na cztery ręce, formuła ta wszakże kłamałaby realiom, gdyż Gazeciarz w czasach, w których mogłem go obserwować, miał tylko prawą rękę. Lewą stracił na przejeździe kolejowym, który chciał przebiec mimo zamkniętego szlabanu i nie zauważył nadjeżdżającego pociągu. Jak słyszałem, Bogu powinien dziękować, że skończyło się tylko kalectwem, niewiele brakowało, a zginąłby na miejscu. Nie wiem, kiedy nastąpił ten wypadek, w każdym razie odkąd Gazeciarza pamiętam, był jednoręki. I nie ma wątpliwości, że kiedy się to zdarzyło, był pijany. Bo pijany był zawsze, nie widziało się go w innym stanie, można było obserwować tylko zróżnicowanie stopnia: od lekkiego rauszu do niemal pełnego zamroczenia, w którym bełkotał coś, co ledwo dawało się zrozumieć. Popijał również wówczas, gdy biegał z gazetami i głośno zachwalał swój towar, w jego dużej, przewieszzonej przez ramię torbie

bez trudu mieściła się butelka. Na ulicy rozgrywały się różne wydarzenia z jego życia, także konflikty z żoną. I ona od wódki nie stroniła, często robiła wrażenie podpitej, na ogół jednak nie była pijana. A gdy Gazeciarz już na zbyt wiele sobie pozwalał, wyprawiał brewerie przewyższające codzienną normę, dochodziło do małżeńskich awantur. Nie ograniczały się one do wymiany słów, nawet ostrych i obraźliwych, puszczanie wiązanek stanowiło fazę wstępną, po niej następował właściwy etap — bójka. Gazeciarzowa nie czuła oporów w publicznym praniu swego małżonka po pysku i w walce — tak to przynajmniej wyglądało z mojego punktu obserwacyjnego — zawsze odnosiła zwycięstwo. Trudno się dziwić, miała niewątpliwe przewagi, była mimo wszystko mniej pijana, no i dysponowała dwiema rękami. Gazeciarz był człowiekiem o zdecydowanych poglądach politycznych, nie zwykł ich taić, wykrzykiwał je z tym większą ekspresją, im bardziej był pijany. Nie można było wątpić — władza ludowa nie stanowiła jego miłości. I przekonaniom swoim dawał wyraz bez względu na to, czy go o nie ktoś pytał, czy nie pytał, bez względu na okoliczności. Nie rezygnował jednak — nie mógł tego robić, nawet gdyby chciał — z handlowania gazetami, głoszącymi chwałę nowego ustroju, który miał być najbardziej demokratyczny i najbardziej postępowy, w jego torbie PPR-owski „Głos Ludu” przykładnie i w harmonii sąsiedował z Mikołajczykowską „Gazetą Ludową”. W owym czasie nowa władza miała większe kłopoty na głowie niż wiecznie podpity gazeciarz w małym prowincjonalnym P. i chyba dawała mu spokój, a może obdarzyła go wariackimi papierami — i skłonna była tak niepoważną figurę tolerować. Zapewne szybko by się to skończyło, jednakże przeznaczenie (czy — mówiąc mniej patetycznie — wódka) tak pokierowało losami Gazeciarza, że przestał być dla ludowej i demokratycznej Polski, która postanowiła wejść na socjalistyczną drogę rozwoju, problemem. Szybko umarł.

Zanim opowiem, jak to się stało, muszę wspomnieć o najgłośniejszym i najbardziej teatralnym czynie politycznym Gazeciarza. Był rok 1947, zbliżały się wybory, propaganda wrzała. Niewiele o niej potrafię powiedzieć (niestety!), dopiero co skończyłem dwanaście lat, polityka mnie nie zajmowała, w tym okresie żyje się ważniejszymi sprawami. Pamiętam jednak o owym czynie Gazeciarza, głośnym na naszej ulicy i jeśli nie zapisanym w annałach, to niewątpliwie utrwalonym w świadomości wielu jej mieszkańców. Z mojego okna widoczny był kopiec Kościuszki, niewielkie wzniesienie otoczone żeliwną, efektownie stylizowaną kratą, zwieńczone niezbyt wysokim postu-

mentem, na którym stał biust bohatera spod Raclawic. Na dzień czy dwa przed wyborami Gazeciarz przeskoczył kratę, wdrapał się na wzgórek, a był w takim stanie, że sprawiało mu to sporą trudność, rzucił się z całą potęgą swego gorącego uczucia na biust Generała i zaczął go obcałowywać. Trwało to sporą chwilę, a gdy skończył ów akt hołdu, stanął w patetycznej pozie na szczycie tuż obok postumentu, wyciągnął do góry swą jedyną rękę i zaczął krzyczeć mocnym, donośnym i przenikliwym głosem: „Niech żyje Mikołajczyk!” Ta polityczna demonstracja wymagała od niego wielkiego wysiłku, zakładała siłę, którą już nie dysponował. Nie był w stanie sforsować kraty ponownie, ale zapewne tym się nie zmartwił, położył się na zboczu kopca i usnął snem głębokim. Była zima, przechodnie, którzy go ujrzeli w tak niecodziennym miejscu i w niezwykłej pozie, pomogli mu przejść przez kratę, skądinał niezbyt wysoką. Gazeciarz — zdaje się — nie wiedział, jakim cudem tam się znalazł i o swym patriotycznym czynie nie pamiętał.

Umarł kilka miesięcy później. Umarł tak jak żył, na ulicy. Nagle upadł, by już nigdy się nie podnieść. Był ostatnim, który w P. sprzedawał gazety w ten sposób. Po jego śmierci wdowa trudniła się jeszcze przez jakiś czas tą profesją, ale nie opuszczała swej miniaturowej budki i nie wykrzykiwała tytułów gazet. Wkrótce potem budkę zlikwidowano, a na jej miejsce zainstalowano większy kiosk, w którym można było kupić już nie tylko prasę, ale również rozmaite drobiazgi, potrzebne w życiu codziennym. Zony Gazeciarza, która po jego śmierci nosiła się tak, jakby do minimum ograniczyła to, co w sprzedawanych przez nią gazetach nazywało się spożyciem alkoholu, w tym nowym kiosku nie zatrudniono. Pojawiły się tam jakieś nowe osoby, zdecydowanie mniej malownicze. Gazeciarz zmarł w roku 1947, a więc nasza ulica nie utraciła jeszcze swojej prawowitej tradycyjnej nazwy. Nie przypuszczał chyba nawet w najbardziej ponurych przewidywaniach, że to miejsce jego pracy nosić będzie przez lat kilka imię Chorążego Pokoju.

Siwek

Człowiek ten łączy się w mojej pamięci już z ulicą Stalina, pojawił się bowiem później, nie wiadomo skąd przybył. I zasilił dość pokaźne grono miejscowych pijaczków. Powiedzieć by o nim można: pijaczek nowego typu, bo mówiło się, że odbywając swe codzienne marszruty, wykonuje zleczone przez władze zadania,

nie jest więc bezinteresownym spacerowiczem, który lubił przechadzki, zwłaszcza na trasie od przejazdu do targu, i gotów był poświęcić na nie swój cenny czas niezależnie od pogody. Nie wiem, jak się nazywał, chyba w ogóle mało kto znał jego nazwisko, mówiło się o nim Siwek — i ja przy przewisku tym pozostanę. Do dzisiaj wydaje mi się ono nader odpowiednie, nie można było bowiem nie zauważyć jego bujnej zaczesanej do góry czupryny w charakterystycznym kolorze, gdzieś między bielą a srebrem. Siwa czupryna tym łatwiej rzucała się w oczy, że kontrastowała z karnacją twarzy. Jej czerwień przechodziła wręcz w bordo i odznaczała się taką intensywnością, jakby cała krew nagromadziła się w policzkach. Miało się wrażenie, że gdyby ich dotknąć palcem i lekko nacisnąć, czerwony płyn wytrysnąłby jak woda z fontanny. Ktoś troskliwy mógłby obawiać się, że mężczyzna ten za chwilę padnie ofiarą ataku apoplektycznego. Nic takiego jednak się nie stało, w każdym razie w czasach, które wspominam. Siwek popijał z kumplami — i nieustannie przemierzał naszą ulicę. Robił to powoli, bez jakichkolwiek oznak nerwowości czy pośpiechu. Chciałoby się powiedzieć, że nie tyle chodził, ile dostojnie kroczył. Nawet gdy był bardziej niż zwykle pijany, umiał nadać swym marszom pewną formę i utrzymać równowagę, niezmiernie rzadko widziało się go zataczającego. Zdaje się, że w ogólności zależało mu na zachowaniu pozorów. Chodził wyprostowany i był jak na kogoś, kto — wiele na to wskazywało — nigdzie nie pracuje, a jeśli ma jakieś dochody, to ogromną ich część wydaje na alkohol, raczej porządnie ubrany. W każdym razie wyróżniał się w grupie swych przyjaciół, noszących się niechlujnie, brudnych, wyglądających tak, jakby niezmiernie rzadko wchodzili w kontakt z mydłem i wodą. Nie był aż tak nieestetyczny.

Nie mogłem go nie zauważyć, gdy wyglądałem oknem, przed naszym domem defilował kilka razy dziennie, o różnych porach. Szybko zaczęło się mówić, że jego spacerzy nie są bezinteresowne — i dlatego z taką uwagą przygląda się wszystkiemu, co napotyka na swej trasie. Z biegiem czasu wątpliwości było coraz mniej: Siwek jest ubowcem (wówczas używało się słowa „ubowiec”, „ubek” spopularyzował się trochę później), ubowcem najniższego sortu, do najprymitywniejszych usług, zapewne bez spluwy w kieszeni. Wieczny spacerowicz, niewątpliwie więcej umiał powiedzieć o naszej ulicy, czyli donieść, niż dzielnicowy, którego widywało się rzadko, bo — najwyraźniej — promenady po rejonie, o który miał się troszczyć, nie stanowiły dla

niego pasjonującego zajęcia. Głównym zadaniem Siwka było jednak — jak się mówiło — obserwowanie targu. W P. były dwa spore place targowe. Ten w naszej dzielnicy mieścił się nieopodal ulicy 3-go Maja, którą zaszczycono w grudniu roku 1949 przemianowaniem na Stalina (to był dar urodzinowy naszego skromnego miasteczka dla człowieka, od którego zależały losy świata), kilkaset metrów od naszego domu w stronę kościoła, był więc niewidoczny z okna, z którego za młodu lubiłem wyglądać na świat. Targi odbywały się w środy i soboty, rzadko je odwiedzałem, bo nie było tam dla mnie niczego interesującego, jedynie wtedy, gdy matka prosiła, bym ją zastąpił w robieniu zakupów, zwykle drobnych i najprostszych, tylko takie bowiem była skłonna mi powierzyć. Ale gdy zdarzyło mi się postawić tam nogę, od razu Siwka dostrzegąłem, kręcił się wśród sprzedawców i zachowywał tak, jakby wszyscy wokół byli jego dobrymi znajomymi. A trzeba powiedzieć, że był to targ w tradycyjnym, jakże archaicznym stylu, taki, na którym dominowali nie handlarze, królujący przy kramach, ale chłopci z okolicznych wsi, przywożący do miasta na sprzedaż swoje produkty. Niekiedy trudno było przecisnąć się wśród furmanek, zaprzężonych w konie wyglądające nader mało reprezentacyjnie, Siwek jednak doskonale manewrował w tej zagęszczonej przestrzeni, widać było, że zna ją nie od dzisiaj. Po przyjacielsku rozmawiał z chłopami, niektórzy podsuwali mu coś do jedzenia i — to niewątpliwe — częstowali samogonem. Czy wiedzieli, jaka jest jego rola, czy zdawali sobie sprawę, po co na targ przychodzi? Może traktowali go w ten sposób z wyrachowania, bo mieli nadzieję, że — nakarmiony i napity — nic złego o nich do władz nie powie. A interesowało go zapewne wszystko, miał donosić nie tylko o tym, co się na targu dzieje, także to, co się mówi. Targ, nawet w niewielkim mieście, to spore zgromadzenie, niechybnie i tam działają wrogowie. Niewykluczone, że w latach późniejszych z usług Siwka zrezygnowano, może okazał się niepotrzebny, a może w jego relacjach—delacjach tyle było pijackiego bełkotu, że nawet najprzenikliwsi pracownicy miejscowej ubecji niewiele z nich byli w stanie wywnioskować. A może padł ofiarą odwilży, nastały nowe czasy, dokonano kompresji etatów wśród tajnych agentów, także tych z najniższego szczebla, a więc — jak można się domyślać — najgorzej opłacanych. Faktem jest, że Siwek rzadziej przemierzał naszą ulicę — i nie chodził już z tak dumną miną. Upodobił się do swoich kumpli, najwyraźniej podupadł. Jego twarz nie stała się jeszcze bardziej czerwona, bo to byłoby niemożliwe, ale przygarbił się i zaczął pociągać nogami tak, jakby cho-

dzenie wymagało coraz większego wysiłku, tracił więc zdolność do wykonywania powierzonych mu misji. Także ubiorem przestał się wyróżniać spośród swoich towarzyszy od kieliszka, czy raczej — butelki bądź musztardówki, bo z nich przecież pić zwykli. I zniknął mi z oczu. Może dlatego, że coraz rzadziej wyglądałem oknem na ulicę, która szczęśliwie odzyskała już swoją historyczną nazwę.

Od warsztatów do MHD

Przez okno widziałem, oczywiście, nie tylko figury dziwaczne i charakterystyczne, widziałem szarą codzienność, ludzi idących do pracy i z pracy wracających, uczniów podążających do szkoły i — już na luzie — kierujących się ku domowi, kobiety udające się na zakupy i z torbami pełnymi różnych rzeczy spieszące się do siebie. Trudno jednak o tej codzienności najzwyczajszej pisać, nie poddaje się ona dramatyzacji, bo jak z natłoku osób, faktów, zdarzeń ze swej natury powtarzalnych i niczym się nie wyróżniających, wyłuskać to, co indywidualne. Chciałbym jednak przedstawić drugą stronę ulicy, tak jak ją z okna widziałem i tak, jakbym pragnął utrwalić na taśmie, gdyby moja kamera przesuwiała się z prawa na lewo i w ten sposób była umocowana, by w pełni odtwarzać mój punkt widzenia. Nie miałem kamery, a gdybym miał, nie potrafiłbym się nią posługiwać, moje oko dobrze jednak utrzymało w mej pamięci ów pejzaż nie zawsze pociągający — i osoby, które najczęściej mogłem w nim postrzegać.

Najbardziej wysuniętym na prawo elementem, jaki bez trudu z okna widziałem, była część muru przedsiębiorstwa, które oficjalnie nazywało się wówczas Warsztaty Naprawcze Taboru Kolejowego, ale tej długiej nazwy nikt w P. nie używał, mówiło się — warsztaty. Główne dojście do nich było od 3-go Maja, ale kawałek od mojego domu, nie mogłem więc go widzieć. Zajmują one spory obszar i mają zapewnione miejsce w dziejach P. i nie tylko w nich, bo na tym rozległym terenie Niemcy stworzyli w roku 1944 wielki obóz, do którego zganiłi uchodźców z Warszawy po upadku Powstania. Ale nie mogę o tym pisać, w owym czasie w naszym mieście mnie nie było. A tuż obok muru znajdował się kopiec Kościuszki, o którym już wspominałem. W tym miejscu dokonano drobnych korekt urbanistycznych, tak że dzisiaj do warsztatów już nie przylega, dzieli go od nich nieco przedłużona ulica (z planu miasta przypominam sobie, że nazywa się ona Warsztatowa), wówczas jednak przylegał. Mur zaś w pewnym mo-

mencie zlikwidowano, może dlatego, by nie wywoływać złych skojarzeń i zastąpiono go drucianą siatką. Nie wiem, kiedy ów kopiec sporządzono, myślę, że wzniesiono go w patriotycznym porywie tuż po odzyskaniu niepodległości. W owym czasie nigdy jednak nad jego historią się nie zastanawiałem, był dla mnie czymś odwiecznym i oczywistym.

Ale moja wyimaginowana kamera nieustannie przesuwa się w lewo — i zatrzymuje na rogu 3-go Maja przemienionej w Stalina i niewielkiej ulicy, na której patetyczną nazwę — Narodowa — nikt nigdy się nie targnął. W parterowym budynku z czerwonej cegły mieścił się sklep rzeźniczy Płoskich, niegdyś świetnie prosperujący, ale w miarę jak plan sześcioletni przynosił coraz większe sukcesy, półki i haki coraz rzadziej obciążano czymkolwiek nadającym się do sprzedania, aż wreszcie go zamknięto. To na jego drzwiach jakiś nieodpowiedzialny żartowniś wypisał kolorową, trudną do zmycia farbą: „łby i nogi, kopyta i rogi”, wymieniając w ten sposób najmniej ciekawe z konsumpcyjnego punktu widzenia części zwierzęcego ciała. Zdaje się, że wszczęto śledztwo, chciano dociec, kto pozwolił sobie (i to na ulicy Józefa Stalina) na taki antysocjalistyczny napis w czasie, w którym występowały wprawdzie choroby wzrostu i przejściowe trudności, ale krzywa dobrobytu nieustannie rosła, rezultatów jednak chyba ono nie przyniosło. Ten w końcu zamknięty sklep na rogu Narodowej kojarzy mi się nie z zakupami, ale z czymś całkiem innym. To przed nim zbiegali się i godzinami wystawali młodzieńcy, tworzący grupę niewątpliwie niezbyt przykłądną: niektórych z nich od czasu do czasu aresztowano. Przewodzili im dwaj bracia T., Stasiak i Waldek, po parobczańsku urodziwi, rośli, podobni do siebie (choć nie byli bliźniakami) i nie najbardziej z tej grupy agresywni. Młodzieńców takich w owym czasie nazywano oficjalnie chuliganami. Mieli na sumieniu to i owo, przyznać jednak trzeba, że szanowali miejsce, z którego się wywodzili, w naszej dzielnicy nic złego nikomu nie zrobili; tutaj sobie gadali, popijali, zaczepiali dziewczyny, ale na występy udawali się gdzie indziej, dochodziły słuchy o różnych ich wyczynach. Nazywano w najbliższej okolicy grupę młodzieńców dobrotliwie, ale nie bez ironii „Mazowsze”, choć ani nie śpiewali, ani nie tańczyli. W pewnym okresie stali się równie stałym składnikiem pejzażu jak kopiec Kościuszki.

W drugim końcu tego parterowego domu mieścił się niewielki sklep z szyldeń „Paulina Nerc — Owocarnia”. Pani Nerc znana była jako Adaszewska, nikt inaczej o niej nie mówił, choć nigdy formalnie tak

się nie nazywała. Dość długa to historia, sięgająca jeszcze lat międzywojennych. W lokalu tym miał fryzjernię niejaki pan Adaszewski, jak głosiła tutejsza legenda, człowiek nader kochliwy, miejscowy Don Juan. Jeszcze przed wojną przegnał żonę, związał się z panną Nerc i przez kilka lat z nią żył, ale w czasie okupacji od niej uciekł z jakąś inną kobietą, a potem — podobno — z jeszcze inną osiedlił się gdzieś na Ziemiach Odzyskanych. Mniemana Adaszewska została Adaszewską na całe życie. I prowadziła swój sklepik; w jego właściwej części sprzedawała napoje, w tym taki, który nazywał się „kwas”, choć z kwasem chlebowym nie miał wiele wspólnego, był jakąś odmianą oranżady, której oczywiście nic z pomarańczami poza nazwą nie łączyło (w P. mówiono zresztą zwykle „orenżada”), miała cukierki, lizaki, herbatniki. Klientelę tej części sklepu stanowiła głównie dzieciarnia. Ale różne tajemnicze rzeczy działy się za przepierzeniem ze sklepowych pótek. Tam królowała sędziwa matka Adaszewskiej, jeszcze dość żwawa, skoro mogła zajmować się tak ważnymi sprawami; sama Adaszewska, choć usiłowała to ukryć, tleniąc swe siwe włosy i stosując jaskrawy makijaż, też już dawno rozstała się z młodością. Nie było tajemnicą, że skrywana część sklepu jest pijalnią wód ognistych. I to w niej właśnie spotykali się miejscowi panowie władza z okolicznymi pijaczkami — i w przykładowej zgodzie pociągali z kieliszków. Czasem tylko dochodziły ze sklepu odgłosy awantur, do których z pewnością nie pobudza picie „kwasu” czy „orenżady”. Wówczas Adaszewska energicznie wyrzucała awanturników ze sklepu, a rozmiarów była słusznych i siły w rękach jej nie brakowało. Zwykle też zamykała go od wewnątrz i handel przerywała. Dzieci, które przybiegały, by kupić lizaka bądź piętnaście deko miętowych cukierków, kierowały się do — niezbyt zresztą odległej — konkurencji.

Ale zanim do niej dobiegły, musiały minąć zieleniak, należący do pani Olendzkiej, którą powszechnie nazywano Henią. Jej budka znajdowała się dokładnie *vis-a-vis* okna, z którego zwykłem przyglądać się naszej ulicy, a więc niejako sama wchodziła w moją obserwacyjną kamerę. Henia nosiła zwykle niebieski fartuch i dziwnie wysunięty ku przodowi beret, była tęga, otwarta ku światu i zawsze uśmiechnięta. Serdecznie witała swych klientów, całkiem licznych, zwłaszcza w dni nietargowe — i cieszyła się sympatią. Dalej na lewo, na rogu 3-go Maja i Mickiewicza, mieścił się sklep pani Wilczańskiej. I to była główna konkurentka Adaszewskiej, ale tylko w sprzedawaniu tych towarów, które nie wchodziły w konflikt z nazwą „sklep spożywczy” czy

„owocarnia”, bo potajemnym wyszynkiem alkoholu się nie trudniła. Była to nobliwa dama, jeszcze dość młoda, zawsze nienagannie ubrana, zachowująca się powściągliwie i elegancko, tak jakby chciała dać swym klientom do zrozumienia, że nie zawsze było się skromną kupcową w małym prowincjonalnym mieście. I chyba nie przypadkiem mówiło się o niej pani Wilczańska („kupię sobie loda u pani Wilczańskiej”), podczas gdy nigdy nie zdarzyło się słyszeć o pani Adasze-wskiej, nawet Henię niezmiernie rzadko nazywano panią Olendzką. I wreszcie drugi kraniec tego, co mogłem ze swego okna dojrzeć: duży sklep, również na rogu Mickiewicza, tuż naprzeciw sklepu pani Wilczańskiej, wchodziło się do niego po schodkach. Przez dziesięciolecie należał do braci K., a nad wejściem pysznił się ogromny napis „Towary kolonialne”. Po wojnie przez jakiś czas był jeszcze ich własnością, ale już niczego, co kojarzyłoby się z koloniami w nim nie było, banany i pomarańcze stały się przedmiotami mitycznymi, może tylko rodzynki pojawiały się przed Bożym Narodzeniem. Był to w swoim czasie sklep porządny, w solidnym i ładnym domu, wybudowanym na przełomie wieków, w tych odległych czasach, kiedy do P. zawitała prosperity. Napis „Towary kolonialne” niebawem zniknął, a pojawiły się trzy litery: MHD. Myślę, że kiedyś te wszystkie skróty — MHD, PSS, GS itp. — będą wymagały przypisów, bo któż będzie pamiętał, co się za nimi kryło w obsuwającym się w przeszłość PRL-owskim świecie, ten więc rozszyfruję od razu: Miejski Handel Detaliczny. I był to największy sklep w naszym kwartale, obok sklepu po mojej stronie ulicy, a więc z okna go nie widziałem, który legitymował się literami PSS (ach, i ten skrót rozwinę: Powszechna Spółdzielnia Spożywców; nazywało się ten sklep po prostu spółdzielnią, a starsi ludzie mówili zazwyczaj: kooperatywa). Pojawiły się nowe sprzedawczynie, osoby anonimowe, nie znane ani z imienia, ani z nazwiska. Nie one wszakże stanowiły największą nowość. Oznaką nadchodzących czasów stały się kolejki, które przed sklepem zaczęły się formować — nie tylko na schodkach, także na ulicy, zwłaszcza wówczas, gdy rzucono rzadko spotykane towary, które trochę później obdarzono mianem deficytowych. Ale o tym nie będę pisał, nie ma tu żadnych miejscowych osobliwości, a norma ogólnokrajowa dobrze jest znana.

Wyłączam więc moją opisową kamerę, bo tego, co dalej, nie mógłbym już z okna dostrzec. To prawda, pamiętam, co tam było i po mojej i po przeciwnej stronie ulicy, mógłbym wymienić kolejne przecznice, domy, sklepy, ale w jakim celu mam to robić? Co z okna

widziałem, to przypomniałem. Mógłbym się co najwyżej zastanawiać, czy mam prawo westchnąć: o P nie jesteś ty już dawnym P! I westchnienie takie byłoby uzasadnione, gdybym myślał o innych dzielnicach mojego rodzinnego miasteczka, w nich zmieniło się ogromnie dużo, ale nie o tej. Odwiedziłem niedawno stare strony i stwierdziłem, że ulica 3-go Maja zakonserwowała się w postaci sprzed dziesięcioleci, wszystko na niej i wokół niej chyli się ku upadkowi. I nie przeczy temu fakt, że nie ma już napisów MHD i PSS, że wokół ujrzyć można reklamy Pepsi-Coli, batonów Snickers i Mars, a na ogrodzeniu warsztatów zachwalają swe produkty i usługi świeżo powstałe firmy. Gdybym dzisiaj zainstalował się w oknie, z którego obserwowałem swoją ulicę, dojrzałbym niemal ten sam co dawniej pejzaż, tylko że inni ludzie już się w nim poruszają. Sam się dziwię, że tak dużo z niego zapamiętałem, a to wszystko dzięki oknu, które w tamtych czasach wciąż mnie przyciągało. Jak tu nie chwalić tak wspaniałego wynalazku!